DOM

i Szkoła Powszechna

Nr. 3

ROK I. MARZEC 1939

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

TREŚĆ Nr 3:

WZMIANKA O N-RZE 3-IM MIES. „RODZINA I DZIECKO".

Świeży numer mies. „RODZINA I DZIECKO" (marzec r.b.) wstępny artykuł poświęca pamięci Papieża Piusa XI z mocnym podkreśleniem Jego doniosłej działalności w kierunku ochrony rodziny i wychowania młodzieży. Wśród artykułów o treści pedagogicznej na czele znajduje się praca Dra Tadeusza Bornholtza o nauczaniu „Zagadnień życia współczesnego" w Liceum. Artykuł ten z pożytkiem może być czytany i przez dojrzalszą młodzież dla pogłębienia jej stosunku do pracy w tym przedmiocie. Cenny materiał do przemyślenia dla rodziców przynosi artykuł Wandy Krahelskiej-Mackiewiczowej p. tyt. „Dziecko mniej kochane", a dyskusja na temat „Jedna czy wiele organizacyj wychowawczych" rozwija się nader ciekawie w artykułach St. Domańskiej, E. Bąkowskiej i J. Cz. Ponadto w artykułach dyskusyjnych poruszono zagadnienie należenia młodzieży do klubów sportowych, oraz sprawę szkolnych zabaw w związku z doświadczeniem minionego karnawału. W tymże dziale znajdujemy odpowiedź na art. Dr. L. „Kto winien" (Nr 1 r.b.), a sprawozdania z prasy polskiej i zagranicznej przynoszą wyjątkowo bogaty materiał. Kilka obrazków z życia na zakończenie pociągają czytelnika zarówno treścią jak i formą literacką.

NR 3. MARZEC ROK I.

Dom i Szkoła Powszechna

„CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW"

O RZECZACH POWAŻNYCH I OBGRYZIONEJ OBSADCE.

Kiedy wygodnie siedzimy w kinie i patrzymy na przesuwające się przed nami obrazy, nie myślimy o tym, że na obrazy te składa się cały szereg zdjęć fotograficznych, z których każde przedstawia jeden tylko moment. Oceniamy obraz jako całość, wzruszamy się lub śmiejemy, oburzamy lub pragniemy naśladować.

Kiedy obcujemy z człowiekiem, oceniamy jego osobę i postępowanie, lubimy go lub jest nam obojętny, wzorujemy się na nim lub potępiamy. Nie myślimy o tym, że na wytworzenie się takiej lub innej osobowości człowieka złożyły się różne momenty jego życia.

Pewne sposoby postępowania mamy już w sobie, od urodzenia, inne wytworzyły się przez wychowanie. A potem tak się wszystko splotło, pomieszało, że trudno nieraz byłoby określić, z czym się człowiek urodził, a co nabył pod wpływem warunków, w jakich się wychował.

Postępowaniem naszym rządzą różne siły. Początkowo umiemy robić tylko to, co leży w zakresie naszej wrodzonej umiejętności. Mam na myśli wszystkie impulsy i odruchy.

Impulsem psychologia nazywa „wrodzoną skłonność do dążenia w kierunku pewnego celu w pewnych sytuacjach". Impulsów jest wiele i różnego rodzaju. Przed niebezpieczeństwem mamy ochotę uciekać, przy napotkaniu czegoś ciekawego, mamy chęć zobaczyć to lepiej i zbadać, przeszkodę chcemy usunąć, głód zaspokoić, wobec towarzyszy — postawić się, słabszymi — zaopiekować, starszych i silniejszych — naśladować. Oto szereg ważniejszych impulsów, które łatwo zaobserwować u każdego wieku.

Odruch to „wrodzona skłonność do reagowania w pewien swoisty sposób na pewną swoistą pobudkę". Odruchowo zmrużymy oczy wobec silnego światła, cofniemy rękę po dotknięciu czegoś nieprzyjemnego, drgniemy wobec nagłego stuknięcia obok nas, skrzywimy się lub jękniemy przy silnym bólu, uśmiechniemy się lub nawet krzykniemy z radości.

Impulsy można zaspakajać w ich pierwotnej postaci lub też przez odpowiednie wychowanie kształcić i uszlachetniać. Odruchy można w większym lub mniejszym stopniu opanowywać. Potrzebna jest do tego wola, czyli chęć i postanowienie, wytrwałość i ćwiczenie.

Wie o tym każdy pedagog zawodowy, wiedzą o tym rozumni rodzice. Wspólne i konsekwentne wysiłki rodziców, nauczycieli oraz samego wychowanka dają pomyślny rezultat w postaci człowieka „wychowanego”.

Musimy jednak stosować wiele zabiegów i ćwiczeń, ażeby pewne czynności utrwalić, zmechanizować, wytworzyć pewne przyzwyczajenia, nawyki.

Do czynności nawykowych należy np. mycie rąk przed jedzeniem, wycieranie obuwia przed wejściem do mieszkania, wrzucanie papierów do kosza nawet na ulicy, kładzenie wszystkich rzeczy na właściwe miejsce, uprzejme „dziękuję” za każdą usługę, punktualność, dokładność w robocie...

Przyzwyczajamy się do wszystkiego, zarówno do dobrego, jak i do złego — może nawet łatwiej do złego.

Dziecko przy odrabianiu zadania zamyśliło się i przypadkiem włożyło do ust koniec obsadki. Następnego dnia mogło mu się to samo zdarzyć — i już przyzwyczaiło się. Chłopiec coś opowiadał ojcu albo bratu. Włożył ręce do kieszeni. Następnego dnia znowu coś opowiadał — i znów przypadkiem, jak wczoraj, włożył ręce do kieszeni. Już zdążył przyzwyczaić się, będzie stale tak robił, dopóki go ktoś nie odzwyczai. Dziewczynka uczyła się historii np. przypadkiem zaczęła nawijać koniec warkocza na palec. Jeśli następnego dnia lub za kilka dni zrobiła to samo — już przyzwyczaiła się.

W ten sposób powstają różne śmieszne albo brzydkie przyzwyczajenia czyli nawyki — obgryzanie obsadki, paznokci, dłubanie w nosie, chwytanie kogoś za guzik przy rozmowie, powtarzanie co drugie słowo „panie”, „prawda”, „proszę pana” lub „proszę ciebie” itp.

A z tego wynika, że pożyteczne czynności trzeba utrwalać przez powtarzanie dotąd, aż staną się przyzwyczajeniem, czynnością automatyczną, czymś, czego inaczej zrobić już nie można. Zbyteczne zaś lub brzydkie nawyki trzeba usuwać przez czuwanie nad tym, aby się nie powtarzały, nie utrwaliły, nie stały czynnością mechaniczną, wykonywaną nieświadomie.

Al. Dargielowa

DZIECKO W GROMADZIE.

Człowiek nie może być sam, nie tylko dlatego, że jest zależny od pracy wszystkich ludzi, że każdy z nas korzysta z pracy, dokonywanej nieraz na krańcach świata, ale i dlatego, że człowiek samotny nie czuje się szczęśliwy, że człowiek jest stworzony do współżycia.

Od umiejętności współżycia zależy szczęście człowieka. Współżycia trzeba się uczyć, do współżycia trzeba być wychowanym i to wychowanym od lat najmłodszych.

Maleńkie dziecko współżyje prawie wyłącznie z matką, lub z tą opiekunką, która mu matkę zastępuje. I od matki zależy, jaki będzie stosunek te-

go dziecka do innych ludzi. Są matki tak zazdrosne o przywiązanie dziecka, że nie pozwolą ojcu z nim się bawić, boją się, żeby się do ojca nie przywiązało bardziej niż do niej.

Jeżeli matka sama jest nerwowa, nierówna w postępowaniu, dopiero co pieściła i całowała, i już się gniewa, krzyczy, może bije, dziecko staje się nieufne, nie wie czego się ma spodziewać od niej, a więc tym bardziej od innych ludzi.

Dziecko do lat dwóch nie umie się bawić z innymi dziećmi. W przedszkolu, dzieci młodsze, poniżej czterech lat, dopiero przy końcu roku uczą się bawić w gromadzie.

Wśród dzieci starszych, nawet jeszcze w przedszkolu, te które się nie bawią z innymi, które się trzymają na uboczu, stanowią nieliczną mniejszość. Wychowawczyni w przedszkolu, nauczyciel czy nauczycielka w pierwszej klasie szkoły powszechnej, powinni zwrócić specjalną uwagę na te dzieci, postarać się zbadać, jakie są przyczyny ich odosobnienia.

W przedszkolu, gdzie nauka jeszcze nie obowiązuje dzieci, gdzie celem jest zabawa, łatwiej jest obserwować te sprawy, łatwiej też wniknąć w przyczyny odosobnienia, nieumiejętności zżycia się z gromadą.

„Dlaczego się nie bawisz z innymi?" spyta „pani", małego samotnika. Czasem padnie odpowiedź: a bo mnie boli ząb, czy głowa, bo mam katar. Czasem taki mały samotnik nie odpowie nic, ale blada buzia, podsiniałe oczy mają dostateczną wymowę. Dziecko jest chore. Dzieci słabe, wątłe, nie chcą się bawić z innymi. Stają się nieśmiałe, boją się hałasu, ruchu, boją się, żeby ich kto nie poszturchnął, czy nie uderzył. Dziecko chore jest lękliwe i „nerwowe".

Czasem wystarczy, żeby się wzmocniło, poprawiło, nabrało sił, a już inny duch w nie wstępuje, już przyłącza się do gromady.

Inne jednak, choć okres słabego zdrowia minął, nadal pozostają nieufne. Te trzeba zachęcić. Niech raz zdobędzie pierwsze miejsce w wyścigach, niech pani je pochwali przy gimnastyce, a odzyskuje wiarę w siebie i chęć do zabawy z innymi.

Ale są i inne przyczyny odosobnienia. Dziecko czuje się gorsze od innych nie pod względem sprawności i sił, a pod względem ubrania, wyglądu zewnętrznego. Czasem wystarczy, żeby matka zaczęła więcej dbać o nie, żeby je uczesała staranniej, ubrała czyściej i lepiej, a dziecko odrazu nabierze innego humoru, zacznie rozmawiać i śmiać się z kolegami.

Dziecko gnębi jeśli czuje się „inne" niż gromada, gdy się czymś odróżnia, i temu trzeba się starać zapobiec. Jeśli mały Jaś musi nosić kurtkę po starszym bracie, niech matka zatroszczy się o to, żeby na nim nie wisiała jak worek, niech ją zwęzi, niech skróci rękawy. Oszczędzi tym dziecku wielu niepotrzebnych cierpień i upokorzeń. Nam się te niedole dziecięce wydają śmieszne i błahe, ale dla dziecka to są przejścia poważne i mogą nieraz zaważyć na całe życie na jego wrogim i nieufnym stosunku do ludzi.

Wystarczy, żeby dziecko różniło się mową od gromady, żeby się czuło obco i źle. Dziecko, które prosto ze wsi dostanie się do szkoły wielkomiejskiej, trzyma się zdala od klasy, która wyśmiewa jego „wsiowy" sposób mówienia.

Bywają i takie dzieci, które na skutek wadliwego wychowania domowego unikają zbliżenia się do gromady. Mała Zosia, w czyściutkiej sukience, w eleganckim fartuszku, kręci noskiem na inne dzieci, krzykliwe i wesołe, bo ją matka przestrzegała, żeby się nie wdawała „z byle kim". Wyrośnie na wieczną malkontentkę, na „księżniczkę na ziarnku grochu", która nie będzie umiała znaleźć sobie miejsca wśród ludzi.

Kiedy spytać dzieci, dlaczego się nie bawią z kolegą, odpowiadają różnie. „Bo brudny". „Bo się bije". „Bo się przezywa".

Brudny. Tak, dzieci zwracają uwagę na wygląd zewnętrzny, razi je zaniedbanie, nie potrafią wniknąć, że dziecko samo nie jest winne, że winne są warunki, bieda, przepracowanie matki. Zresztą, choćby nie wiedzieć jaka była bieda, matka troskliwa zawsze się postara, żeby dziecko było czyste, choć w łatanej sukience. Ułatwi mu tym życie. Czystość to też jeden z warunków dobrego współżycia ludzkiego.

Gromada jest okrutna, nieubłagana. Niech nauczycielka publicznie zawstydzi dziecko, że ma brudne ręce, czy fartuszek, narazi je na śmiechy i docinki pozostałych. Trzeba bardzo mieć się na baczności, żeby takim oddziaływaniem na ambicję dziecka nie wywołać prześladowania przez klasę. Dziś, na szczęście, minęła już epoka „oślich uszu" i podobnych metod ośmieszania. Starsze dzieci, które same przeżyły w szkole niejedną gorzką chwilę, trzymają raczej stronę ukaranego kolegi, ale młodsze idą owczym pędem na tego, który jest strofowany, czy ośmieszany.

Nauczyciel może wiele uczynić, aby odwrócić niełaskę klasy. Pewna dziewczynka, której trzeba było wskutek nieszczęśliwej przygody (wpadła do smoły), uciąć włosy przy skórze, wstydziła się przyjść do szkoły tak oszpecona i nie chciała zdjąć beretu. Dzieci stroniły z początku od niej, ale nauczycielka potrafiła prędko przełamać tę niechęć i wciągnąć małą do gromady.

Z tymi, którzy biją i przezywają i dlatego są unikani, sprawa jest inna. Różne są dzieci, z różnych wychodzą rodzin, trzeba je dobrze poznać, żeby zrozumieć, dlaczego wojują z gromadą. Czasem są nieszczęśliwe w domu i mszczą się na kolegach za swoje krzywdy. Czasem są nadmiernie ruchliwe i trzeba umieć je zająć i zainteresować. Czasem szukają na tej drodze sposobu, żeby zwrócić na siebie uwagę. Wtedy trzeba je zachęcić do współżycia, powierzając im opiekę nad dziećmi młodszymi, czy też jakiś urząd w klasie. Czasem trzeba trafić do domu i pomówić z rodzicami: może to ich postępowanie z dzieckiem sprawia, że dziecko jest niezdatne do współżycia z kolegami, może jest bite, może widzi koło siebie tylko przemoc i brutalność.

Takie dziecko nie jest dobrze przygotowane do życia. Samo będzie nie-

szczęśliwe i inni z nim będą nieszczęśliwi. Bo największym nieszczęściem człowieka jest nieumiejętność współżycia z innymi ludźmi, a sztuki współżycia trudniej jest nauczyć się w wieku późniejszym. Potrzeba na to długich lat doświadczenia, a i te nie każdego potrafią przekonać o jego błędach. Lepiej więc zaczynać od lat najmłodszych.

Janina Buchholtzowa.

DZIECKU POTRZEBNE JEST TOWARZYSTWO RÓWIEŚNIKÓW.

9-cioletnia Stasia jest jedynaczką. Matka zajęta gospodarstwem, ojciec cały dzień poza domem. Po powrocie ze szkoły Stasia je obiad, odrabia lekcje, czasem trochę poczyta — a potem nudzi się aż do wieczora. Mogłaby pomagać matce w gospodarstwie — ale Stasia gospodarstwa nie lubi, a matka bez jej pomocy daje sobie radę. Matka, czy dlatego, że nie umie rozłożyć sobie pracy w domu, czy dlatego, że nie rozumie, co jest dla dobra dziecka potrzebne — nie wychodzi nigdy z małą na spacer. Tak, że dziewczynka spędza w domu całe popołudnia i nie ma ich czym zapełnić. Kaprysi, grymasi, kłóci się z matką, skarży się, że ją głowa boli, pokłada się na łóżku. Z nudów. Zdawałoby się, że z braku zajęcia — lekcjami się zainteresuje. Ale nie. Stasia z roku na rok gorzej się uczy. Leniwa — mówią w szkole. Lekcje odrabia byle jak, w szkole siedzi senna, nie słucha, co mówi nauczycielka. Stasię nic nie interesuje.

Pewnego dnia poznała Stasia na schodach swoją równieśnicę, Hankę, mieszkającą o piętro wyżej. Podobały się sobie. Hanka zaprosiła Stasię do siebie. Przez kilka miesięcy dziewczynki odwiedzały się prawie codziennie. Zaraz po odrobieniu lekcji biegła Stasia na górę do Hanki, albo Hanka przychodziła do Stasi. Rozmawiały o różnych jakichś dziewczyńskich sprawach, bawiły się piłką, grały w loteryjkę, ba! Stasia wyciągnęła z szafy dawno schowaną lalkę, na nowo urządziła jej „pokój" w kącie mieszkania — bawiły się lalką obydwie. Dość często matka Hanki brała je obie na spacer — biegały wtedy na powietrzu z innymi dziewczętami. żyły zgodnie, a choć czasem trafiały się kłótnie, obraza i płacz — nie trwały długo.

Dziwna rzecz. Stasia mniej grymasi w domu, jest bardziej posłuszna niż dawniej, na ból głowy już się nie skarży. W szkole żywsza, bardziej jakoś uważa na lekcji, praca domowe lepiej odrabia — budzą się w dziewczyńce zainteresowania.

Ale nie długo to trwało. Matka Stasi pokłóciła się pewnego dnia z matką Hani o klucz od góry. Od słowa do słowa wypomniała jedna drugiej: „panina Staśka ciągle mi się pod nogami plącze, nie może jej pani w domu trzymać? — panina Hania to mi cały dzień nad głową hałasuje, że wytrzymać trudno. Dość mam z jedną kłopotu, jeszcze mi cudza zawadza". I zabroniły matki swoim córkom widywać się. Płakała Hanka na górze, płakała Stasia na dole. Na drugi dzień wyrwała się Stasia matce i po-

biegła do Hanki. Matka Hani krzywo na nią spojrzała — ale że kobieta była rozsądna i zrozumiała, że córce towarzystwo Stasi sprawia dużo radości — pozwoliła dziewczynkom bawić się u siebie. Matka Stasi była bardziej pamiętliwa i mniej rozumna, kiedy dziewczynka wróciła do domu — dostała bicie od matki, jeszcze raz matka zabroniła jej stanowczo widywania się z przyjaciółką i zagroziła jeszcze surowszą karą.

Nic nie pomogło. Potrzeba widywania się z koleżanką była silniejsza od obawy przed karą. Stasia następnego dnia pobiegła na górę. Tym razem dostała baty nie tylko od matki, ale i od ojca, któremu matka poskarżyła na córkę, a który nie interesował się bardzo dzieckiem i nie pomyślał o tym, żeby przed ukaraniem go rozpatrzeć i przemyśleć całą sprawę. Nie koniec na tym, matka zamykała już zawsze drzwi na klucz i klucz nosiła przy sobie — Stasia nie mogła w żaden sposób wyrwać się do Hani.

Po niedługim czasie wróciły wszystkie wady Stasi. Znowu zaczęła się gorzej uczyć, wróciło lenistwo, apatia i kaprysy. W życiu dziewczynki z powrotem zapanowała nuda.

Stasią zainteresowała się wreszcie szkoła i skierowała ją do Poradni wychowawczej. W poradni, po zbadaniu sprawy, wyjaśniono matce, że dziewczynka nudzi się w domu i że właśnie z nudów płyną jej wady. Tłumaczono, że dziecku potrzebne jest towarzystwo rówieśników także i poza szkołą. Radzono matce pogodzenie się z matką Hani i przywrócenie dawnej przyjaźni dziewczynek.

Na nic się to nie zdało, matka była uparta i powiedziała, że jej córce żadnych koleżanek nie trzeba, że Stasia ma siedzieć w domu. Nudzić się nie musi — może czytać. Wezwano ojca. Ale okazało się, że ojca wychowanie dziewczynki niewiele obchodzi. „Ja nie mam kolegów, po pracy do domu wracam — i jej nikogo nie potrzeba”. Taka z nim była krótka rozmowa.

Ze Stasią jest coraz gorzej, tak w domu, jak w szkole.

*

12-toletni Edek ma dwie starsze siostry i troje młodszego rodzeństwa. Dopóki był młodszy — po szkole siedział w domu. Wystarczało mu towarzystwo rodzeństwa. Starsze siostry czasem pomogły w lekcjach, wytłumaczyły coś, opowiedziały — z młodszymi chętnie się bawił. Szczególnie lubił najmłodszego, 5-cioletniego brata. Strugał mu patyki, woził na krześle po mieszkaniu, żartował z nim, prowadził na podwórko i pilnował, aby mu inne dzieci nie zrobiły krzywdy.

Od jakiegoś roku Edek się zmienił. Z rodzeństwem się kłóci, nie chce siedzieć w domu. A ponieważ rodzice stanowczo sprzeciwiają się, żeby chłopak chodził do kolegów — za ich zgodą zaprosił kilku chłopców do siebie. Nie wiadomo, czego spodziewali się rodzice Edka. Czy sądzili, że czterech chłopców spotka się po to, żeby siedzieć przy stole i rozmawiać

spokojnie, jak starzy na wizycie? A przecież to nie jest możliwe. Chłopcy w tym wieku są z natury ruchliwi i hałaśliwi. Tak już są stworzeni.

Kiedy się tak we czterech spotkali u Edka, dalej strugać kije z obrzynków, które zostały ze starej paki. Krzyk się zrobił w domu, że śmiecą. Obiecali sprzątnąć. I rzeczywiście — jak ustrugali kije — sprzątnęli wszystko porządnie, raz im tylko matka Edka o tym przypomniała. Stanęli potem parami na środku kuchni i zaczęli się tymi kijami „pojedynkować", wykrzykując przy tym głośno.

Tego już było matce Edka za wiele. Rozgniewała się, że hałasują i szkodę mogą zrobić. Wyrwała synowi kij, zdzieliła nim każdego z chłopców, odebrała im patyki, połamała i wrzuciła do pieca. Kolegów syna wyprosiła z domu i zabroniła im przychodzić.

Wizyta u Edka podobała się jednak chłopcom tak bardzo, że przyszli na drugi dzień, wypatrzywszy chwilę, kiedy matka jego wyszła na miasto. Znowu zabrali się do strugania patyków — chcieli koniecznie skończyć „wojnę", rozpoczętą poprzedniego dnia. Nie zdążyli rozpocząć jej na nowo — gospodyni wróciła i wyrzuciła ich z domu, a na Edka bardzo się rozgniewała i zagroziła, że powie ojcu.

Na trzeci dzień wymknął się Edek do kolegów, którzy czekali w sieni na niego. W sieni strugali kije. Na podwórzu zaczęli się „pojedynkować". Odgłosy walki usłyszała matka Edka. Znowu patyki poszły na spalenie, a Edek dostał baty od ojca.

Czwartego dnia Edek ze szkoły nie wrócił do domu — od razu pobiegł z kolegami nad rzekę. Tam znaleźli jakieś kije i urządzili pojedynek. Wojowali tak z 15 minut, albo i dłużej. Edek wyszedł z zadrapaną ręką, jeden z kolegów zdobył duży siniec na ramieniu od uderzenia kijem. Krzywda nie stała się nikomu — ale, pewno, mogła się stać. Bezpieczniej byłoby, gdyby walka odbyła się w domu, przy rodzicach. Chłopcy mogą czasem zanadto się rozszaleć i zabawę przemienić w prawdziwą bitkę — wtedy starsi mogliby ich rozdzielić.

Po walce nad rzeką więcej już chłopcy wojować nie chcieli. Już minęło zainteresowanie kijami. Chcieli teraz szybowce robić z patyków i papieru — ale rodzice Edka słyszeć nawet nie chcieli o wpuszczeniu jego kolegów do domu, ani o tym, żeby on do nich chodził. „Chcesz robić samolot? — rób sam, na co ci koledzy? Tylko krzyk i śmiecie." Dla rodziców — koledzy syna to krzyk i śmiecie, dla Edka — to potrzeba, to konieczność. Edek jest już w tym wieku, że bez rówieśników obejść się nie może, już mu nie wystarcza towarzystwo rodziców i rodzeństwa. Musi mieć towarzystwo takich, jak on. W tym samym wieku i o tych samych zainteresowaniach.

Rodzice Edka, tak samo, jak rodzice Stasi — nie zrozumieli potrzeb swego dziecka. Ale Edek nie dał za wygraną. Zaczął walczyć o swoje prawa niewłaściwą bronią — ale innej nie miał. Edek zaczął coraz częściej wracać do domu nie zaraz po szkole, a dopiero wieczorem. Rodzice też nie

dali za wygraną — i po każdym późnym powrocie do domu Edek dostawał baty. Ze strachu nie wrócił raz nawet na noc do domu. Potem przyszedł — bo był głodny. Zbito go tak, że jak uciekł następnym razem, głód nie przypędził go do domu. Edek poradził sobie z głodem: ukradł ze straganu obwarzanki. Złapał go na tym policjant Edek miał sprawę w sądzie. W 12-tym roku życia.

W sądzie dowiedzieli się rodzice, że głównie ich wychowanie przyczyniło się do przestępstwa dziecka. Odmawiali bowiem chłopcu tego, co mu się słusznie w jego wieku należy: towarzystwa rówieśników. Kiedy popełniał wykroczenia — nie starali się go zrozumieć i wpłynąć na niego — jako jedyną metodę wychowawczą stosowali bicie.

*

Stasiek ma 14 lat. Zawsze dobry był z niego chłopiec, ale na początku ostatniego roku szkolnego jakoś się zepsuł. Wraca późno ze szkoły, lekcje mniej starannie odrabia, lata wieczorami nie wiadomo gdzie, czasem czuć go papierosami, w domu mniej już matce pomaga, nieraz odburknie nawet. Matka nie wypytuje chłopca — wie, że młodzież w tym wieku ma swoje tajemnice i niechętnie je zwierza pod naciskiem. Przygląda się tylko chłopcu uważnie, obserwuje jego postępowanie, stara się wniknąć w przyczynę zmiany. Wybrała się wreszcie do szkoły porozmawiać o chłopcu z jego wychowawcą. Wychowawca też zauważył w Staśku zmianę na gorsze. Ale znał przyczynę. Stasiek zaprzyjaźnił się w szkole z drugorocznym uczniem, Felkiem. Ten Felek właśnie wywierał na niego zły wpływ. Wychowawca radził matce, żeby się postarała rozerwać tę przyjaźń.

Matka pomówiła o sprawie z mężem. Ojciec Staśka rozgniewał się bardzo i powiedział, że stanowczo zabroni chłopcu widywać się z Felkiem, że go nie wypuści nigdy z domu po południu, że go zbije, jeżeli jeszcze raz poczuje, że palił papierosy. Matka przekonała ojca, że takim ostrym postępowaniem nic nie wskóra, bo Stasiek to chłopiec ambitny i nastraszyć się nie da. Powiedziała mężowi, że już sama postara się załatwić tę sprawę z synem i poprosiła go, żeby jej w tym nie przeszkadzał przedwczesnym gniewem i karaniem chłopca.

Matka zaczęła od tego, że w chwili większej serdeczności ze strony chłopca — a takie chwile zawsze się przecież zdarzają — zapytała syna o to, co robi poza domem. Chłopiec widząc, że i matka serdecznie jest dla niego usposobiona, powiedział o Felku. „Czemu go nie zaprosisz do nas? spytała matka. — Bo się wam nie będzie podobał i nie pozwolicie mi się z nim zadawać. — A tobie on się podoba? — Tak, to bardzo morowy chłopak. — Przyprowadź go do nas, zobaczymy, może masz rację".

I Felek zaczął przychodzić do Staśka. Ojciec Staśka bardzo był zły z tego powodu — ale, ponieważ obiecał nie przeszkadzać żonie — nic nie mówił, tylko wychodził z domu, żeby się nie rozgniewać nie w porę.

A Felek rzeczywiście nie był dobrym chłopcem. Ordynarny, brzydko mó-

wił, pluł na podłogę. Ale to nie najważniejsze — mogło mu tylko brakować ogłady. Gorsze było to, że się bardzo nieładnie wyrażał o swojej matce: stara, głupia, że chwalił się, jak to się wykręca zawsze, żeby jej w domu nie pomóc w pracy, że robił ordynarne miny i gwizdał, kiedy mówili czy czytali o dziewczętach, że po jego wizycie daremnie matka szukała swojej broszki, a po innej wizycie — świątecznego krawatu męża.

Po paru odwiedzinach matka omówiła z synem zachowanie się jego przyjaciela. Spytała, co on sądzi o tym wszystkim. Stasiek trochę bronił kolegi —ale już nie tak, jak dawniej. Widzieli się potem jeszcze parę razy — ale matka już była spokojna. Czuła, że to koniec przyjaźni — ale rozumiała też, że zbyt gwałtownie trudno ją zerwać. Nie długo czekała. Po paru tygodniach Stasiek oznajmił jej, że z Felkiem już wszystko skończone.

Irena Chmieleńska.

Na pauzie nie wolno biegać.

Przychodzi do Poradni dla Rodziców matka z 13-letnim synem, Jurkiem. Chłopiec — według niej — powinien być umieszczony w Zakładzie Poprawczym. Matka boi się wypuścić go na ulicę — zaraz skargi sąsiadów i przechodniów. To uderzy chłopaka, to nogę podstawi przechodniowi, to kamień ciśnie na drugą stronę ulicy, to sklepikarce od Żydówek nagada. Poważnej krzywdy nikomu wprawdzie nie wyrządzi — ale nieznośny łobuziak z niego. Matka, żeby uniknąć skarg, nie pozwala wcale chłopcu wychodzić z domu. Do szkoły ma parę kroków.

Poza tym chłopiec bez zarzutu i w domu i w szkole, gdzie go nader krótko trzymają.

Cóż się okazuje przy bliższym wejrzeniu w sprawę?

Matka bynajmniej nie od czasu skarg trzyma chłopca w domu. Trzyma go tak od najwcześniejszego dziecięctwa. Taką już metodą wychowawcza kierowała się zawsze: chłopiec nie ma co robić poza domem.

W domu siedział zawsze sam. Ojca nie ma. Matka cały dzień w pracy. Jedynak. Mieszkają we dwoje.

Sprawa „dzikiego" zachowania się chłopca na ulicy staje się bardziej zrozumiała.

Zaproponowałam Ogród Jordanowski — jako miejsce, gdzie chłopiec mógłby wyładowywać swoją naturalną energię. W dzielnicy, którą zamieszkuje — Ogród Jordanowski nie istnieje.

Spytałam o puste place, na których chłopcy się bawią tak często. W okolicy nie ma takiego placu, a gdyby nawet był — matka nie posłałaby tam syna z obawy przed złym towarzystwem, któremu nie będzie w stanie przeciwstawić mocnego wpływu wychowawczego: kobieta, cały dzień poza domem. Z tego samego względu odpadł pomysł bawienia się chłopca na podwórku.

Zaproponowałam Harcerstwo. W szkole nie ma drużyny. Międzyszkolna w innej części miasta. A zresztą harcerstwo — to tylko jedno popołudnie w tygodniu racjonalnie zapełnione.

Spytałam wreszcie, jak się chłopiec bawi na pauzach w szkole, i czy tam nie może się choć częściowo, „wybrykać".

— Na pauzie wolno tylko parami chodzić po korytarzu — wyjaśnił.

— Pewno jesteście w starym domu, mieszkańcy pod wami skarżą się na hałas — pytam domyślnie, świadoma tej konieczności krępowania dzieci.

— To nowy dom, specjalnie przeznaczony na szkołę.

Okazuje się dalej, że szkoła ma ładne boisko — używane jedynie w lecie na lekcjach gimnastyki. Podczas pauz w żadnej porze roku korzystać z niego nie wolno: „podłogi się niszczą”.

A no, co dla kogo ważniejsze: lśniąca podłoga, czy zdrowie fizyczne i psychiczne dzieci?

Chwytam się jednak wiadomości o boisku, jak ostatniej deski ratunku. Czemu Jurek nie chodzi po lekcjach na boisko szkolne i tam się nie wybiega i nie wykrzyczy dostatecznie?

Z boiska, po lekcjach, woźny spędza tych, którzy nie mają ochoty natychmiast po nauce szkolnej wrócić do domów. O pozostaniu na boisku poza godzinami szkolnymi mowy być nie może. Choć, nie. Była ślizgawka. Przez kilka dni w ciągu tej zimy — bo mrozu nie było. Ale i przez te dni Jurek nie mógł z niej korzystać — bo nie miał łyżew. Szczęśliwców było ze 30 na całą szkołę.

Sprawa wybryków ulicznych chłopca stała się zupełnie jasna. Odpowiedzialnymi są za nie: matka i szkoła. Szkoła bardziej. Matka jest analfebetką i o własnych siłach wychowuje swego syna. Matka nie wie. Matka nie może. Szkoła wie i może — ale nie chce.

I.

Współpraca rodziców ze szkołą.

Współpraca rodziców ze szkołą powszechną układa się bardzo rozmaicie. Nawet w pismach zdarza się czytać narzekania, że Koła Rodzicielskie przy szkole powszechnej zajmują się przeważnie urządzaniem zabaw, więc oczywiście i w tym urządzaniu i w samych zabawach biorą udział tylko rodzice zamożniejsi, których stać na wydatek kilku, czy kilkunastu złotych. Zresztą po smutnych wypadkach w jednej ze szkół, kiedy to na takiej zabawie pokrajano się nożami, władze przypomniały zakaz urządzania w szkołach zabaw tanecznych dla dorosłych, więc w szkole urządza się tylko koncerty, przedstawienia, czy inne imprezy, mogące przynieść dochód, aby zaspokoić różne, a tak liczne braki i potrzeby szkoły.

Z współpracą domu i szkoły jest tak, jak w ogóle ze współżyciem ludzkim. Każdy ma swoje kłopoty, potrzeby i zmartwienia, a nie rozumie kłopotów i zmartwień drugiego. Nauczyciel widzi braki i potrzeby szkoły i uważa, że rodzice powinni szkole pomóc. A czyż może czas swój i grosze poświęcać na inne cele ten, któremu na własne pierwsze potrzeby nie starczy?

Czasem nauczyciel troszczy się i o to, żeby rodzice zainteresowali się wychowaniem dzieci, żeby zrozumieli, co trzeba robić, a czego unikać, żeby dziecko dobrze wychować. Urządza się w szkole odczyty, pogadanki. Rodzice nieraz chętnie przychodzą na takie odczyty, chętnie słuchają, ale są i tacy, do których nie trafi pogadanka wychowawcza. Bo jakże ma trafić, kiedy ojciec siedzi w domu bez roboty, zgryziony i rozgoryczony, a matka biega po usługach, do prania, do handlu „koszykowego”, byleby tylko dzieciakom dać kawałek chleba. Wiadomo, głodnego dobrymi radami nie nakarmi. Nakarmić trzeba chlebem, ale nie żebraczym, trzeba podać rękę człowiekowi, żeby miał siłę dźwigać się na nowo do życia.

Matka.

ŻEBY OJCÓW DO WYCHOWANIA NAPĘDZIĆ!

Przeczytałam to nowe pismo dokładnie i parę artykułów bardzo mnie zajęło, bo piszą o tym, co i w mojej rodzinie się dzieje albo u niektórych sąsiadów. Przeczytałam i tak sobie umyśliłam te parę słów napisać, kiedy to już wszyscy rodzice są do pisania zaproszeni.

Żeby to Redakcja miała jaki wpływ na szkołę, żeby nauczycielowie ojców do wychowania napędzili, a nie tylko jak trzeba pasem dołożyć. Bo ojciec to rzadko jest w domu, dzieci się go boją, wiadomo jak skutkuje jak się ojcem zastraszy! Z matką to już dziecko tak się być przyzwyczai, że to niby już musi tak być i wiele się jej gadaniem dlatego nie przejmuje. A jak ojciec powie dobre słowo, uśmiechnie się, popieści dziecko albo podokazuje, to już dziecko nie wiem jak rade i szczęśliwe, wcale nawet dla ojca uważania nie traci, jak razem z nim pożartuje czy nawet kozły pofika. Jak ojciec powie co, to jest ważne dla dzieci i musi być zrobione, bo to ojciec tak sobie życzy. A ojciec jak przyjdzie do domu, to że to ze świata, to dużo ma do opowiadania, pośmiania się a i do nauczenia, bo się dużo tych różnych rzeczy osłucha. Dzieciom tylko oczy się świecą i każde słowo łykają. To jakby każdy ojciec chciał, to by mógł na wychowanie duży wpływ mieć, ale żeby chciał, żeby go to obchodziło i do szkoły żeby na zebranie poszedł, a nie zawsze matka i matka, co wiadomo, że z natury już ma do wychowywania chęć i umiejętność, tyle, że mało co widzi przez ten cały dzień w domu przy garnkach i przy balii. Póki dzieci małe, to i matka im mądra, starczy. Ale jak starsze, to już tylko ojciec u nich posłuch ma i podziw. Więc żeby tak Redakcja szkołom dała o tym znać i żeby się do tych ojców wzięli.

K. B.

Słówko o zabawach.

Przyglądając się wielu zabawom szkolnym i po przemyśleniu tej sprawy dojść można do wniosków, że po pierwsze: celem tych zabaw powinna być jak największa radość i zadowolenie młodzieży, a po drugie: „by zabawa taneczna dla młodzieży była istotnie środkiem wychowawczym", z zastrzeżeniem, oczywiście, by środki wychowawcze nie psuły radości.

Znane są jednak wypadki, że zabawa daje dochód pieniężny. Okoliczność tę wyzyskuje szkoła i rodzice, by zbierać pieniądze na wzniosły cel dla niezamożnych dzieci i dlatego na zabawach dla młodzieży są co roku płatne bilety wstępu, płatna loteria fantowa z jedną lalką do wygrania, lub jedną książką. Szkoła zaprasza dużo gości (dawne uczennice i uczniowie) z płatnymi biletami wstępu. W takich warunkach siłą rzeczy na pierwszy plan wybijają się pieniądze. Jak najwięcej pieniędzy!

I kiedy się widzi z jakim oddaniem i przejęciem pracują rodzice z Komitetu organizacji zabawy, to mimo woli czuje się wzruszenie, a jednak zmieszane z uczuciem żalu, że coś tu z tym celem zabawy nie jest w porządku. Czy nie trzeba byłoby przenieść chęci jak największego zarobku na teren zorganizowanej w tym celu zabawy dla dorosłych? Niech zamożni rodzice płacą bilety wstępu na wzniosły cel, a na zabawach w szkole może lepiej byłoby zwrócić przede wszystkim uwagę na to, by dzieci dobrze się bawiły, pod ścianą nie siedziały, ani nie czuły w sercach goryczy, że się wyciągnęło pusty bilet na loterii, albo że nie ma pieniędzy na bufet.

Mimo woli rodzi się w sercu bunt, gdy słyszy się uwagi: niech dzieci przyzwyczajają się jak najwcześniej do tego, że na świecie nie będzie wszystkim jednakowo.

Chyba odwrotnie: aby jak najpóźniej zetknęły się z niesprawiedliwością społeczną!

Tak, jak wszystko co młode, ochraniamy przed zimnem, wichurą, złymi warunkami, by dobrze rozwijało się, tak i dziecko prędzej wyrośnie w dobrych warunkach na dzielnego, radosnego i dobrego człowieka. Niech mu nie zatruwa serca przedwcześnie jad zazdrości. Dziecko potrzebuje do normalnego rozwoju jak najwięcej radości.

Genowefa Rybicka.

Szkoła a buty.

Do kancelarii szkolnej przyszła asygnata na 28 par obuwia i trzy swetry. W załączeniu okólnik, w którym Komitet Stołeczny usprawiedliwia się, że jeszcze ten jeden, ostatni raz obarcza czynnością rozdawnictwa kierowniczkę szkoły. Długa chwila rozwagi, szukanie najsprawiedliwszych dróg, jakiegoś magicznego klucza wedle którego dokona się przydziału.

Numery obuwia są małe, wiadomo nadają się dla dzieci pierwszej, drugiej, wyjątkowo może trzeciej klasy. Lecz właśnie te najmłodsze najmniej się zna, niedawno jeszcze są w szkole, no i przecież nauczyciele klas młodszych mają prawie z reguły po dwa wychowawstwa. Czyni to razem około 120 uczniów. Jakże poznać tyle rodzin, jak zbadać w tylu wypadkach warunki życia, środowisko?

Wpadam na sposób. Rozdam obuwie tym, których ojcowie przedstawią karty bezrobocia. Idę do klas, szukam, stwierdzam. Nowy szkopuł. Józio przynosi kartę bezrobocia ojca, lecz przypadkowo dowiaduję się, że jego matka ma dozorstwo w dobrej kamienicy. Halinka, której ojciec przy każdej okazji legitymuje się jako bezrobotny, ma matkę — właścicielkę straganu w hali targowej.

I ten sposób sprawiedliwego podziału zawiódł. Buty leżą w kącie mojej kancelarii. Upływa jeden dzień, drugi, trzeci.

Lecz wiadomość o nich lotem błyskawicy rozchodzi się między dziećmi. Dowiedzieli się i rodzice i zbroją się do walki w stare, dobrze wypróbowane sposoby. Któregoś z najbliższych dni postanawiam obejrzeć w szatni obuwie dzieci i przydzielić buty tym, którzy będą posiadaczami najbardziej zniszczonych.

W czasie przeglądu staję osłupiała. Cóż się to stało? Dzieci chodzące do naszej szkoły zawsze tak porządnie ubrane i obute dziś mają w 50 procentach jakieś stare, dziurawe, wykrzywione chodaki. Na wieszakach szatni nie widzę swetrów.

Czekam kilka dni jeszcze. Obserwuję. Stare, dziurawe chodaki stopniowo giną z szatni, ustępując miejsce przyzwoitemu obuwiu. Przeczekałam.

A buty ciągle stoją w kancelarii równym szeregiem. Dałam je wreszcie coś po 10 dniach jakimś cichym, bardzo czysto i starannie ubranym dzieciom, których buciczki były mocno zniszczone, lecz bardzo gorliwie przy pomocy szczotki i pasty utrzymywane w przyzwoitym stanie, dałam je dzieciom, których rodzice nigdy nie wyciągali ręki o jałmużnę, natomiast z głęboką bruzdą na zatroskanym czole przychodzili pytać o postępy w nauce swych synów i córek.

Do dziś nie wiem, czy nie pomyliłam się. Natomiast wiem, że w ciągu następnego tygodnia musiałam znieść sporo wizyt rodziców przychodzących z pretensjami, z żalami, z ciężkim, brutalnym słowem. I wiem także, że w tę walkę o zdobycz wciągnięte były dzieci. Wiem, że były świadkiem tej całej gry i wiem także, że największe spustoszenie w psychice dziecka czyni to, jeśli mu się nastręcza sposobność wyprowadzenia w pole własnego wychowawcy.

Chcę, żeby wszystkie dzieci w szkole miały nowe i całe buciki, lecz aby je w ten czy inny sposób otrzymały z rąk własnych rodziców.

Chcę, aby dziecko w szkole otrzymywało naukę i rozrywkę — każde jedna-

kowo, jako prawo i przywilej swego wieku. Marzę o chwili, kiedy rząd butów ustawionych równym szeregiem w mojej kancelarii stanie się jedynie koszmarnym wspomnieniem.

M. W.

Książka w rodzinie.

Nikły jest procent rodzin korzystających z książki czy gazety. Jednak niemal w każdym domu znajdzie się (zwłaszcza na wsi) jarmarczny sennik, śpiewnik kościelny czy książeczka do nabożeństwa... i naturalnie — nieproszona, wszędy dlocierająca prasa brukowa. To proste stwierdzenie świadczy o... poziomie kultury społeczeństwa.

Książka dobra, wartościowa — beletrystyczna czy popularno naukowa należy do zjawisk wyjątkowych. I znowu tu trzeba stwierdzić, że jej przebywanie w domu nie zawsze jest objawem nieprzeciętnej cywilizacji i kultury. Znam wypadki, w których rodzina posiada wcale ładną bibliotekę kilkuset tomową, a jednocześnie zastraszającą higienę, zaniedbania gospodarcze okropne, a braki kultury wprost olbrzymie. Książka osobno — życie osobno. Widocznie potrzeba wielu czynników, aby kultura domu wyraźnie się podnosiła. Wydaje mi się, że tam, gdzie jest gazeta czy książka, a brak wyrażenia myśli w listach do krewnych, wypracowaniach, sprawozdaniach (choćby rachunkowych) związanych z pracą rolniczą czy oświatową, nie może być mowy o postępie kulturalnym domu. Obserwowałem wypadki, w których dom posiada książkę kuchenną (grube tomisko) a jednocześnie — odżywianie i gotowanie „pod psem". Książka dotarła do domu, wepchnął ją skrzętny agent, jednak nie oddziałała zupełnie — nie znalazła odbiorców w rodzinie. Dlatego, moim zdaniem, należałoby apelować do inteligentniejszych członków rodzin niewykształconych, aby pokierowali akcją czytania książek — każdy u siebie lub po sąsiedzku. Doprawdy przykre to, że na plotkach schodzi zima, długie wieczory giną w próżniactwie. Wydaje mi się, że lepiej jest bliżej zająć się poszczególnymi rodzinami, niż bezosobowymi organizacjami, które istnieją zazwyczaj na papierze.

Kultura rodziny, zwłaszcza wiejskiej stoi jeszcze na dość niskim poziomie. Rozpoczyna się ona w momencie gospodarczego podnoszenia się i wyraźnego zanikania zabobonów. Punktem zwrotnym może być książka wspólnie opracowana w rodzinie. Wyzwoli ona nowe zainteresowania i świeże dążenia. Życie wiejskie krąży koło „morgi", zdobycie jej jest ideałem. Natomiast nieduża jest jeszcze troska o rozwinięcie cywilizacji i kultury w oparciu o istniejący dorobek materialny.

Należałoby propagować pewne utarte formy pracy z książką: głośne czytanie wyjątków ciekawszych lub całości, dyskusja nad przeczytanymi dziełami, omawianie z dziećmi czytanek szkolnych względnie lektury domowej. Życie szkolne winno wnieść dużo zainteresowań do rodziny — właśnie przez książkę. Ze strony szkoły brak dotychczas dążeń do podnoszenia poziomu życia rodzinnego. A przecież w każdym domu wiejskim niezbędna jest atmosfera książki dobrej — beletrystycznej czy popularno naukowej. Rodzina interesująca się książką — to ideał najbliższej chwili. *N.*

Świetlica dla rodziców.

Chcemy się tu podzielić z czytelnikami radosnym przykładem, jak wiele zdziałać może zrozumienie ludzkich potrzeb i trosk, jak wygląda podanie ręki nie z jałmużną, a z braterską pomocą i jak może się ułożyć współpraca szkoły z rodzinami bezrobotnych.

Istnieje w Warszawie taka właśnie szkoła powszechna, o której opowiadano, że ma świetlicę dla rodziców, w której dzieją się rzeczy nadzwyczajne.

Trzeba pójść zobaczyć. Szkoła znajduje się na Powiślu, w dzielnicy gdzie wiele jest biedy. Mieści się w nowym gmachu przy ul. Zagórnej. Ma piękną dużą salę gimnastyczną, gdzie również odbywają się obchody i liczniejsze zebrania. Do szkoły tej uczęszcza 700 dzieci. A więc rodziców trzeba liczyć około 1400. Wśród rodziców jest wielu bezrobotnych. Do tych, jak wiadomo, najtrudniej trafić. Pomoc doraźna, jak obiady, o które postarał się p. kierownik, wzbudziła tylko nową falę rozgoryczenia. „Dawniej, to mój postarał się choć o jaki dorywczy zarobek, a teraz to mnie tylko pędzi po te obiady", żaliły się matki panu kierownikowi.

Do matek zawsze łatwiej trafić. Matka nie zniechęci się, nie załamie rąk, bo przecież dzieci wołają jeść. Żadną pracą nie pogardzi. Więc zatroszczył się pan kierownik przede wszystkim o to, żeby matkom ułatwić zarobki. Urządzono szwalnię, gdzie instruktorki uczyły kroju i szycia, na materiałach, które miały posłużyć własnym dzieciom tych matek na ubrania. Uczono matki robót na drutach. Dziś zrobi sweterek swemu dziecku, jutro dostanie zamówienie, i już jest jakieś źródło dochodu. Oprócz tego, szkoła zaprosiła Związek Pań Domu, żeby zorganizował naukę gotowania. Przyda się i we własnym domu umieć z najtańszych rzeczy przyrządzić posiłek zdrowy i smaczny, przyda się też umiejętność gotowania, jeśli się szuka pracy na przychodnią „do wszystkiego". Dziś Związek Pan Domu ma swój własny ośrodek w pobliżu szkoły, a jego kursy i pokazy cieszą się ogromnym powodzeniem.

Żeby i ojców bezrobotnych zachęcić do jakichś zajęć, które by im niosły lepsze samopoczucie i nadzieję na przyszłość, szkoła nawiązała kontakt z inną poważną organizacją, ze Związkiem Rezerwistów. Bezrobotnym ojcom, należącym do Związku łatwiej zetknąć się z ludźmi, szukać pracy, nauczyć się nowego zawodu, wydoskonalić się w swoim.

Świetlica rodzicielska, nie mogąc się pomieścić w szkole, gdzie po lekcjach szkolnych klasy są zajęte przez kursy wieczorowe, poszukała sobie własnego lokalu w pobliżu szkoły. Są to dwie nieduże, jasne izdebki w nowoczesnej suterynie. Fundusz Bezrobocia przyczynia się do opłacania komornego. Nic dziwnego, przecież świetlica pomaga do tego, żeby zmniejszyła się liczba bezrobotnych.

W świetlicy stale wre praca. Niektóre dni poświęcone są na kursy wychowania obywatelskiego, na które bardzo chętnie uczęszczają ojcowie i matki; wchodzą tu w grę i ćwiczenia OPL i wyszkolenie wojskowe, i nauka strzelania, na którą chodzą osobno grupy panów i grupa pań w niedziele, do strzelnicy przy szpitalu Ujazdowskim.

Z zajęć praktycznych największym powodzeniem cieszą się obecnie kursy handlu straganiarskiego. Uczęszcza na nie przeszło 60 osób. Drobny handel uliczny, oto jeden z zarobków, którego nieraz chwytają się bezrobotni, ale nie zawsze umieją się do niego zabrać. Na kursach dowiedzą się, jak trzeba obliczać koszty własne i zarobki, gdzie trzeba kupować towar do handlu itp. Na kursy te przychodzą z pogadankami kupcy, którzy dziś mają własne sklepy. Opowiadają, jak zaczynali z niczego, jak jeździli z koszykiem po jarmarkach. W ludzi wstępuje jakaś otucha. Już nie tylko nie będą potrzebowali wsparcia i pomocy, ale sami będą mogli dać zarobić innym. Do handlu bierze się cała rodzina.

Świetlica troszczy się o to, żeby zniżyć opłaty za stoiska, zabiega o to w Zarządzie Miasta. Jak wygórowane są te ceny, niech zobrazuje przykład. Za plac pod sprzedaż choinek żądał magistrat 105 złotych. Szkoła udzieliła rodzinie bezrobotnego swego placu darmo. Pracowała cała rodzina. Czuwali po nocach, w najgorsze mrozy. Zarobili 60 zł. Gdyby zapłacili za plac, ponieśliby ciężką stratę.

Zarząd świetlicy nawiązał też kontakt z kasami bezprocentowymi przy parafiach, przy ośrodkach zdrowia itp. które udzielają początkującym kredytu na kupno towaru.

Już teraz uczestnicy kursów świetlicowych handlują różnymi sezonowymi artykułami, balonikami w karnawale, choinkami, owocami, kwiatami itp. Niektórzy już wypatrują sobie miejsce pod stoisko na lato.

Oprócz tego, świetlica urządza kursy z zakresu higieny, gdzie wykładowcami są młodzi lekarze wojskowi, praktykujący w Szpitalu Ujazdowskim. Jeden dzień poświęcony jest na chór.

Świetlica ma własne radio, ma biblioteczkę, obejmującą 100 tomów wartościowych książek, chętnie czytanych i często zmienianych, co świadczy o zainteresowaniu, ma również i czytelnię gazet.

Oto, czego dokonać może inicjatywa jednego człowieka, poparta współpracą gromady. Punktem jej wyjścia było zrozumienie potrzeb ludzkich i umiejętne podejście do zorganizowania samopomocy.

Inne są potrzeby wielkiego miasta, inne małego miasteczka, jeszcze inne wsi, inne są też możliwości, aby im zaradzić. Gdziekolwiek jednak znajdą się jednostki, które je zrozumieją, które potrafią zachęcić ludzi, aby zamiast narzekać, wzięli się do wspólnej pracy, żeby biedzie zaradzić, tym uda się na pewno stworzyć coś, co może będzie wyglądało inaczej, ale będzie równie twórcze i błogosławione w skutkach, jak ta śliczna świetlica rodzicielska przy ul. Zagórnej.

TRUDNE DZIECI.

Helenka ma 9 lat. Jest trudnym dzieckie do wychowania. Nie lubi słuchać, nie chce stosować się do jakiegokolwiek porządku. Czy uczesać się porządnie, czy paznokcie wyczyścić, czy fartuszek włożyć, czy ubranie szkolne na miejsce położyć — o wszystko trzeba prosić, przypominać po dwa razy.

„Nie chcę", albo „zaraz, zaraz" — oto jej odpowiedzi. A jak tylko matka pójdzie do kuchni, albo do innej roboty, to zapomina na śmierć, że miała coś zrobić.

Serduszko ma dobre i nieraz wieczorem, kiedy matka rozmawia z nią, to nawet popłacze, serdecznie obiecuje poprawę, a potem zapomina o wszystkim, jak dostanie ciekawą książkę do czytania, albo zajmie się zabawą. Najgorzej buntuje się, kiedy już można bawić się na podwórku. Wtedy Helenka bawi się z dziećmi do nieprzytomności i o niczym słuchać nie chce. Lekcje to jeszcze od biedy odrobi, ale jeżeli musi pomóc w jakiejś robocie, pobiec do sklepu, pobawić małą siostrę, robi to z płaczem i zgrzytaniem zębów.

W szkole są z niej zadowoleni, bo ma dobrą pamięć, dużo zdolności do nauki i prędko uczy się tego, czego pan nauczyciel wymaga. Ale w domu trzeba nieraz bardzo wojować, żeby lekcje odrobiła porządnie i na czas, a nie prędko i byle jak wieczorem po kolacji, do czego ma często ochotę.

I pewnego razu stał się cud: Helenka przyszła ze szkoły, rozebrała się bez krzyku i hałasu, powiesiła płaszcz i położyła boty na miejscu. Później sprzątnęła pokój, którego mama nie zdążyła zamieść z powodu prania i zaraz bez napędzania zabrała się do odrabiania lekcji i dopiero po obiedzie wzięła się do czytania.

Oczywiście matka była bardzo rozczulona, więc w końcu nie wytrzymała i zapytała, co to za święto? „A bo Pan przeczytał nam dzisiaj opowiadanie o wzorowych dzieciach, więc chciałam być taką wzorową"...

Matka postanowiła napisać dziękczynny list do pana nauczyciela, ale cóż... ten cud trwał tylko jeden dzień. Odechciało się matce pisania. Zaczęła sobie

wspominać dawne czasy, kiedy Helenka w młodszych oddziałach miała panią wychowawczynię, która tak często potrafiła z dziećmi podobne cuda wyprawiać. Owa pani wychowawczyni była doświadczoną nauczycielką i darzyła macierzyńską opieką dzieci w swojej klasie.

Wtedy Helenka była też o wiele grzeczniejsza w domu. Sama dbała o ręce, o czyste chustki do nosa i kołnierzyki, bo Pani sprawdzała w klasie. Sama przypominała matce, żeby jak najprędzej kupiła tranu, bo Pani w czasie pauzy śniadaniowej jadła z dziećmi w klasie i wypytywała, które piją tran i chodzą na spacer. Już nie trzebo było o te sprawy wojować w domu.

I smutno zrobiło się matce, bo nie mogła zrozumieć, dlaczego dziecko w szkole tak łatwo słucha tego, co mu każą, a tak lekceważy sprawy, na które nie zwracają uwagi w klasie, choć matka w domu stara się jak najlepiej wytłumaczyć potrzbę czystości, porządku, dobrego spełniania obowiązków.

G. R.

KSIĄŻKI NADESŁANE.

Ave Maria — wyd. Desclée De Brouwer, Bruges. Skład Główny księgarnia Verbum, Warszawa, Moniuszki 8. Cena zł. 1.60.

Dzieci lubią obrazki — znana to dobrze prawda. Książeczki dla dzieci młodszych pełne są barwnych ilustracji, nie zawsze jednak ilustracje te odpowiadają wymaganiom artystycznym, nie zawsze kształcą w dziecku poczucie piękna. Jeżeli chodzi o wydawnictwa religijne, to w tej dziedzinie jeszcze trudniej o połączenie prostoty i dostępności, tak koniecznej dla dziecka, z artyzmem, a jednocześnie i z pietyzmem, którego wymaga temat. Znana firma wydawnicza belgijska Desclée De Brouwer od dłuższego czasu drukuje szereg dziecinnych książeczek religijnych ilustrowanych w bardzo oryginalny sposób. Obecnie jedna z nich została wydana z tekstem polskim. Tytuł jej: Ave Maria, treść: krótkie rozwinięcie w formie modlitewek czy rozmyślań zasadniczych części Zdrowaś Maria, przy czym każdej z tych części odpowiada stosowny obrazek, w którym temat potraktowany jest bardzo po dziecinnemu, a jednocześnie w sposób wysoce artystyczny. Jeżeli do tego dodamy staranne wydanie i dogodny format otrzymamy całość, zdolną sprawić radość nietylko dzieciom, ale i starszym, mającym poczucie i zamiłowanie piękna.

I. G.

LIST DO RODZICÓW.

Dziękujemy wszystkim, którzy napisali bardzo miłe dla nas i pożyteczne listy. Miłe to znaczy, że nie koniecznie trzeba chwalić pismo i zachwycać się nim, bo jakkolwiek słowa uznania bardzo przyjemnie jest słyszeć, to i rzeczowa krytyka jest bardzo pożądana. Bardzo dobrze, że Państwo piszą, o czym chcieliby w piśmie czytać i bardzo też ważne pisać o swoich bolączkach i trudnościach wychowawczych i w domu i w szkole. To będzie najlepszy program dla pisma, bo życiowy.

Na niektóre listy odpowiemy listownie, bo sądzimy, że w sprawach drażliwych, bardzo osobistych przyjemniej jest dostać list, niż mieć tę swoją biedę opisaną w druku; na listy w sprawach, które mogą i innych czytelników zainteresować, będziemy odpowiadali na łamach naszego czasopisma, poczynając od następnego numeru.

Bardzo nas cieszy, że tak się Państwo zainteresowali ankietą „O karności w wychowaniu domowym" p. Łaciaka. Zgodnie z życzeniami postaramy się przytoczyć — o ile miejsce pozwoli — część wypowiedzi rodziców.

Broszurki wydawane przez Instytut Higieny Psychicznej prosimy zamawiać wprost pod adresem: Warszawa, ul. Puławska 91.

Redakcja.

Dom i Szkoła Powszechna

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WYCHOWANIA DZIECKA W OKRESIE SZKOŁY POWSZECHNEJ ORAZ WSPÓŁPRACY DOMU I SZKOŁY

Redaktor i Wydawca: JANINA RENDZNEROWA

Prenumerata wynosi: półrocznie (5 zeszytów) — zł. 1.50
rocznie (10 zeszytów) — zł. 3.00

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Zakopiańska 31, tel. 10.05-11

(godz. 8 — 10 i 16 — 17). Konto P. K. O. 16420

Konto pocztowe do przekazów rozrachunkowych 732

Zgłoszenia osobiste w sprawach redakcji i administracji Świętokrzyska 30 m. 8, tel. 6.40-53, w poniedziałki, środy i piątki w godz. 13 — 14

Cena numeru pojedyńczego 30 gr.

Rodzina i Dziecko

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WYCHOWANIA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ ORAZ WSPÓŁPRACY DOMU I SZKOŁY

Redaktor i Wydawca: JANINA RENDZNEROWA.

Prenumerata wynosi: kwartalnie (3 zeszyty) — zł. 2.40
rocznie (10 zeszytów) — zł. 7.50

PRENUMERATA ULGOWA DLA KÓŁ RODZICIELSKICH
opłacających prenumeratę zbiorową
od 10 egz. miesięcznie — 70 gr. za egz.
od 20 egz. miesięcznie — 60 gr. za egz.

Cena numeru pojedyńczego 1 zł.

Powyżej 30 egz. miesięcznie (wysyłanych pod jednym adresem) — 50 gr. za egzemplarz.

W miesiącach lipcu i sierpniu oba czasopisma nie wychodzą. W naszych wydawnictwach uwzględniamy rok kalendarzowy (nie szkolny).

Rękopisów niezamówionych Redakcja nie zwraca; prace winny być pisane na maszynie na jednej stronie arkusza.

Prenumeratę przyjmują również wszystkie większe księgarnie.

Zakł. Graf. „Drukprasa" Sp. z o. o. N.-Świat 54, tel. 615-56